

PEŁOMYCZEK

TYGODNIK DLA MŁODSZYCH DZIECI

Nr 9

WARSZAWA, 27 PAŹDZIERNIKA 1938 ROKU



ACH! JAK JA DUŻO OSZCZĘDZIŁAM!

Dobricke Lodowicz

SPOTKANIE

Szedł do miasta Świszczypała,
aż mu czapka podfruwiała,
aż go buty ponosiły,
ledwie drogi nie zmyliły.
A w kieszeni od kapoty
pobrzękują mu dwa złote.
Aż dwa złote! Grosza kawał!
Będzie w mieście co wydawać!
Kupi kozik albo wędkę —
trzeba złote wydać prędko!
Już się cieszy chłopak z góry...
A w kieszeni były dziury...
Szedł do miasta Świszczypała,
buzia mu się ciągle śmiała.
Idzie, leci. Na szosie
spotkał Zosię-Skrzętosię.
Szła do miasta Skrzętosia,
jak prawdziwa gospoia.
Sakieweczkę ma w rękach,
ciągle na dno jej sięga,
szpera, zerka i liczy...
A ma jeden grosiczek.
Jeden grosik złamany
w sakieweczce schowany...
Więc się dziwi Świszczypała:
— Cóż ty będziesz kupowała?
Jeden lizak, moja Zosiu,
kupisz tylko za swój grosik.
Jeden lizak, nic więcej —



za te marne pieniądze.
— Za grosiczek złamany
jeszcze igłę dostanę,
cienką igłę z uszkiem złotym,
najdatniejszą do roboty.
Poprzyszywam ci łaty,
będziesz wtedy bogaty!

K. Artyniewiczowa



Skarbonka

Jadzia dostała na imieniny skar-
bonkę, taką sobie zwykłą blaszaną,
czerwoną skarbonkę.

U góry i u dołu skarbonka miała
biały paseczek. Z jednej strony Ja-

dzia od razu zauważyła pięknego
białego orzełka, pod którym wielki-
mi literami wypisane było: P. K. O.

Jadzia wie dobrze, co to znaczy
P. K. O. To Pocztowa Kasa Oszczęd-

ności, która przyjmuje nawet drobniutkie wkłady. Otrzymuje się tam książeczeki P. K. O.

Jadzia też ma taką książeczkę. Ta książeczka P. K. O. — to przyjaciółka Jadzi. Cieszy się ona razem z Jadzią, kiedy na jej kartkach przybawają małe, czarne literki, które mówią o tym, że wkład Jadzi w Pocztovej Kasie Oszczędności powiększa się.

Odwróciła Jadzia skarbonkę i zobaczyła napis: „Gdy chcesz być pewnym swego jutra, oszczędzaj dziś”.

Pomyślała Jadzia chwilę i już wie, co to znaczy. Widzi małe grosi-

ki pęczniące w skarbonce w złotówki, które wyjmie z pełnej skarbonki i zanieśie na pocztę. Złoży je na książeczkę P. K. O.

I zanim Jadzia skończy szkołę, zanim to jej „jutro” przyjdzie, oszczędności jej w P. K. O. urosną duże, duże...

Więc cieszy się Jadzia wrzucając do czerwonej skarbonki żółte, nowe, świecące się jak złoto — grosiki.

A może, kiedy dorośnie, będzie mogła za te zaoszczędzone grosiki nie tylko sama kształcić się dalej, ale i mamusi sprawić jakąś radosną, wielką niespodziankę.

M. Kasprzycka



A na piecu, w samym rogu,
przy zegara białej tarczy
stoi, wsparty o drabinę,
z czarnej gliny kominiarczyk.

Trzyma w czarnej ręce szczotkę
i pod pachą drutów parę,
a na czarnych plecach — patrzcie! —
ma kominiarz dużą szparę.

Do tej szpary wrzuca Jurek
oszczędzone swoje grosze.
Kominiarczyk coraz cięższy.
Już go trudno unieść — proszę!

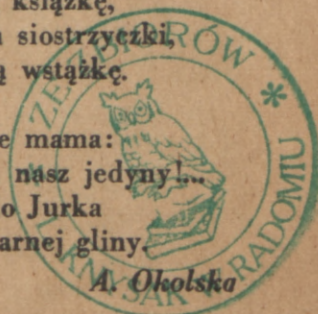
Wandzia wciąż kupuje sobie
jabłka, lalki, piłki-lanki,
Jurek wraz z kominiarczykiem
wszystkim zrobią niespodziankę.

Kiedy brzusek kominiarza
będzie pełny, Jurek z tatą
wyjmą wszystko i zanoszą
do P. K. O. — co wy na to?

Będzie zimno, śnieg już spadnie
(lato od nas coraz dalej),
z oszczędności swoich Jurek
kupi mamie ciepły szalik.

Pod choinką złoży Jurek
dla tatusia piękną książkę,
a dla Wandzi, dla siostrzyzki,
do warkoczy nową wstążkę.

Powie tatuś, powie mama:
— Nasz syneczek, nasz jedyny!
I uśmiechnie się do Jurka
kominiarczyk z czarnej gliny





— Czy wiecie — zawołał Jędrzek wpadając do klasy — że dziś jest Dzień Oszczędności? Mój tatuś dał mi całą złotówkę, żebym sobie włożył do skarbonki!

— I ja też mam skarbonkę — pochwaliła się Marysia. — Ja już uzbierałam całe osiem złotych i kupię sobie na gwiazdkę łyżwy!

— Ojej, aż tak dużo uzbierałaś? — zdziwiła się Basia.

— A tak. Cały rok zbierałam. Jak dostałam od tatusia albo od mamusi dziesięć groszy, to zaraz wrzucałam do skarbonki, a jak zebrała się złotówka, to niosłam do P. K. O. na książeczkę.

— To i ja będę tak robić. I ja będę miała łyżwy — postanowiła sobie Basia.

— I ja, i ja! — wołały inne dzieci i cieszyły się z góry, jak to będzie dobrze, kiedy z małych groszków urosną złotówki.

Tylko Antek się nie cieszył, i Bolek, i Janka, co ma zawsze taki po-

łatany fartuszek. Bo tatuś Antka jest bezrobotny. A tatuś Bolka i tatuś Janki już nie żyją. Mama Bolka zarabia praniem, a mama Janki chodzi na posługi. Więc ani Antek, ani Janka, ani Bolek prawie nigdy nie dostają pieniędzy na cukierki.

— Phi, też mi święto! — powiedział Antek do Bolka. — Dobrze temu, kto ma. Mnie i na zeszyt mama nie zawsze daje. Nie wiem, z czego odłożyć.

— Pewnie — potwierdził Bolek. — To nie dla nas takie święto — i odwrócił się, żeby nie patrzeć na Jędrka i Basię rozmawiających wesoło.

Ale kiedy pani weszła do klasy i zaczęła mówić o święcie oszczędności, zaraz to wszystko wydało się inne. Bo pani powiedziała, że oszczędzać może każdy, a nie tylko ten, kto ma dużo pieniędzy. Jeżeli na przykład Franek nie będzie łąził po płotach i nie porwie sobie ubrania, a Basia zaceruje sobie sama fartuszek, to też zaoszczędzą. Oszczędzą

ubranie, na które mama musi wydać ciężko zapracowane pieniądze, i zaoszczędzą mamie pracy. Bo jak mama wróci do domu, to nie będzie musiała cerować, tylko odpocznie. I książki też można oszczędzać, i zeszyty.

Ucieszył się Bolek.

— Jak tak, to i ja mogę oszczędzać — pomyślał — jak tak, to i dla mnie święto.

A inne dzieci zaczęły zaraz zastanawiać się, jakby to uczcić Dzień Oszczędności. Żeby wszyscy o nim wiedzieli i żeby zawsze, a nie tylko dzisiaj, pamiętali, że trzeba oszczędzać.

— Zrobimy taki duży napis „Oszczędzajmy” — zaproponowała Basia.

— Nie, lepiej narysować takie

obrazki, jak można oszczędzać — mówił Antek.

— I podpisać: „Oszczędzam ubranie”, „Oszczędzam książki” — dorzucił Bolek.

W końcu uradzili. Na wielkim arkuszu kartonu pani przykleiła wycięty z kolorowego papieru duży napis: „OSZCZĘDZAJMY”, a dzieci narysowały obrazki.

Antek narysował czyste, obłożone w papier książki; Wacek — skarbonkę; Halinka — chłopca, który wchodząc do domu wyciera starannie nogi; Marysia — dziewczynkę czyszczącą swoje ubranie. A Ryś narysował wejście do gmachu P.K.O.

Może Czytelnicy „Płomyczka” pomyślą sami, jakie jeszcze można by narysować obrazki?

Z. Charszewska

WIERCIPIĘTKA

Kiedy srocza po raz pierwszy znalazła się w pokoiku Waluni, na półkach w kącie podniósł się nieopisany lament.

— Tego tylko brakowało! — wykrzyknęła lalka Deni. — Żywe stworzenie, które będzie nas szarpać i tarmosić jeszcze bardziej niż Morus.

Morus był to czarny, kudłaty piesek, nieodstępny towarzysz Wali. Lalka Deni nie cierpiała go od czasu, kiedy podczas zabawy wyrwał jej prawą nogę.

— Jesteśmy zgubieni — westchnął brązowy niedźwiedź. — To latające straszidło musi jeść tak samo jak pies. Wala znów będzie wydawać wszystkie pieniądze na smakołyki dla swoich zwierząt!

— A przecież obiecała nas opra-

wić! — zaszeleściły gniewnie Płomyczki na najwyższej półce i rozsypały się nagle po całej podłodze.

Niedźwiedź z trudem odwrócił się na drugi bok i łapą wskazał na swój okaleczony brzusek. Z ogromnej rany sypały się trociny.

— Ja miałem otrzymać nowy tułów. Czekał na to już od roku.

Sroka słuchała skarg przekrzywiając łebek to w prawo, to w lewo.

— Przepraszam państwa — zaskrzeczała wreszcie możliwie najmiłym głosem. — Zdaje mi się, że zjawiłam się nie w porę?

— O, i bardzo nie w porę — potwierdziła sucho gliniana świnka z podłużnym otworkiem w grzbiecie.

Srocza z zaciekawieniem przyjrzała się śwince:



— Czy ona jest zawsze taka zgryźliwa? — spytała zerkając porozumiewawczo w kierunku lalki.

— O, nie! Tylko wtedy, kiedy nie ma w brzuszku błyszczących grosików.

— Aha! Teraz rozumiem. Ona jest po prostu głodna. A głód źle wpływa na humor!

Srocza sfrunęła z krzesła, podskoczyła kilka razy po podłodze i delikatnie trąciła dziobem rozsypane Płomyczki:

— Czy wy także głodne jesteście?

— Nie!

— To dlaczego gniewacie się na mnie i na Walę?

— Bo chcemy być oprawione.

— Co to znaczy? — zdziwiła się srocza i znów pytająco spojrzała na Deni.

— One chcą mieć sukienki — objaśniła lalka. — My wszyscy mamy żal do Wali, że wydaje pieniądze na cukierki, a nas zostawia na pastwę Morusowi.

— Tak, to naprawdę nieładnie —

zaczęła srocza. W tej samej chwili jednak umilkła, bo do pokoju weszła Walunia, a za nią w podskokach Morus.

— A mam cię, sroko-Wiercipiętko! — szczeknął pies i od razu ruszył do ataku.

Ale ptaszysko najeżyło tylko pióra i z całej siły dziobnęło go w nos.

Oszołomiony Morus podwinął ogon i milczkiem tuż pod ścianą przeszedł do kącika lalek.

— Z tymi przynajmniej mogę robić, co chcę — pomyślał chwytając niedźwiedzia za nogę.

Nagle tuż nad głową psa załopotały skrzydła i coś dotkliwie palnęło go w ucho. Morus zaskowyczał żalostnie i jednym skokiem znalazł się za drzwiami.

— Teraz przynajmniej będziecie miały spokój — powiedziała Wala do lalek sadowiąc z powrotem niedźwiedzia na półce.

Wtedy dopiero spostrzegła porozrucane Płomyczki i krzyknęła gniewnie:

— Ty skrzydlaku obrzydliwy! Cóżś narobił?

— Krr! krr! — zaskrzeczała sroczka. — To nie ja!

Ale Walunia nie rozumiała. Ułożyła Płomyczki porządnie na półce wdychając:

— Muszę was koniecznie oprawić. Cóż, kiedy mi pieniądze jakoś lecą przez palce!

— Mogłabyś składać u mnie! — chrząknęła gliniana świnka i zaraz dodała ze złością: — Wiem, że gadam na próżno, bo ona i tak nie rozumie naszej mowy.

— Czekajcie, ja sobie z nią poradzę — skrzeknęła sroka i z radości trzy razy obleciała pokój dookoła.

Oczywiście zabawki nie domyśliły się wcale, w jaki sposób sroczka da sobie radę z Walunią, ale po rozprawie z psem wierzyły, że Wierci-piętka wszystko potrafi.

Minęło kilka tygodni. Sroczka latała swobodnie po całym mieszkaniu, zabawki drzemały w kącie, a Płomyczki powoli obrastały kurzem. Tylko Morus ze strachu przed sroką stracił humor, a Walunia zaczęła nie wiadomo dlaczego gubić wszystkie błyszczące grosiki, które dostawała od mamy.

— Nie wiem, co to jest — skarżyła się patrząc podejrzliwie na srokę. — Znów przepadło mi pięć groszy.

Ale sroczka robiła niewinną minę, a potem leciała do kącika lalek i oglądając się ostrożnie na wszystkie strony ukrywała coś w rozerwanym brzuszku Misia.

Pewnego dnia jednak wybuchła w domu wielka awantura.

Walunia dostała na imieniny nowiutką dwuzłotówkę. Gdy wieczorem

położyła ją na chwilę na brzeżku stołu, dwuzłotówka przepadła nagle jak kamień w wodę. Było płaczu i krzyku co niemiara, ale nie nie pomogło.

W nocy splakana Wala usłyszała naraz lekki trzepot skrzydeł i pomimo ciemności zobaczyła, że na krawędzi jej łóżka siedzi sroka.

— Oddam ci pieniądze — zaskrzeczał ptak — jeżeli mi coś obiecasz.

Tym razem zdumiona Wala zrozumiała każde słowo. Kiwnęła główką:

— Dobrze. Obiecuję ci.

— Musisz oprawić Płomyczki. Przyrzekasz?

— Przyrzekam.

— Czekaj. Musisz naprawić nogę Deni i brzuszek niedźwiedzia.

— Dobrze. Czy to już wszystko?

— Jeszcze jedno. Będiesz odąd karmić świnkę grosikami. Obiecujesz?

— Obiecuję.

— To zajrzyj jutro do brzuszka Misia.

Nazajutrz rano Wala znalazła w korpusie niedźwiedzia oplakaną dwuzłotówkę i całe mnóstwo błyszczących grosików. Było tego razem ze sześć złotych.

— Nigdy nie myślałam, żeby z takich groszy mogło się zebrać tyle pieniędzy — powiedziała z radością do mamy.

— Widzisz! Sroczka jest mądrzejsza od ciebie. Starczy ci jeszcze na obrózkę dla Morusa.

A Morus, który do tej pory warczał na myśl o skrzydlatym straszyle, teraz uśmiechnął się po psiemu i wesoło machnął ogonem.

Wanda Grodzieńska

Rozmowa Bronki z Zosią

Wojtkowski



BRONKA:

Dokąd idziesz?

ZOSIA:

Do sklepiku.

BRONKA:

Po co?

ZOSIA:

Kupić czekoladę.

BRONKA:

Musisz groszy mieć bez liku!

ZOSIA:

Mam dwadzieścia.

BRONKA:

Dam ci radę!

ZOSIA:

Jaką? Wiesz o tańszym sklepie?
Czemu milczysz? Mówże prędzej!
Mleczną kupić?

BRONKA:

Żadnej lepiej!

Czy nie szkoda ci pieniędzy?

ZOSIA:

Co? Dwudziestu groszy szkoda?
Niewielki wydatek, mało...

BRONKA:

Tak? Pięć takich monet dodaj
i już masz złotówkę całą!

ZOSIA:

To i co?

BRONKA:

Dwie, cztery, osiem —
cały zbierze się majątek.

Ach, zapewniam pannę Zosię:
najtrudniejszy jest początek.

Mam w skarbonce cztery złote,
a niedawno nic nie było.

ZOSIA:

Na słodycze mam ochotę.

Wyrzec się — nie bardzo miło...

BRONKA:

Ale później jak przyjemnie,
gdy coś więcej kupić możesz!

Radzę ci — bierz przykład ze mnie!

Jeszcze kilka złotych złożę
i z wycieczką dalej w drogę!

ZOSIA:

Mnie na podróż nie da mama.

Z wami jechać ja nie mogę,
choćbym chciała...

BRONKA:

Widzisz sama,

że oszczędzać warto grosze.

Tu i tam dziesiątki lecą,
przepadają... Odlóż, proszę!

Tylko wytrwałości nieco,
a zobaczysz, że z groszaków
spora sumka ci urośnie!

ZOSIA:

Jedziesz więc? Zobaczysz Kraków?

BRONKA:

Patrzysz na mnie tak zazdrośnie,

zamiast dążyć też do celu,
zamiast też oszczędzać zacząć.

ZOSIA:

Ba! Złotówek trzeba wielu!
Co tam marne grosze znaczą!

BRONKA:

Właśnie znaczą. Znaczą dużo.
Słuchaj, Zosiu, dobrej rady!

ZOSIA:

Tak mnie kusisz tą podróżą...
Więc nie kupić czekolady?

BRONKA:

Nie, nie kupuj! Słuchaj Bronki!
Ta moneta aż się prosi,
by ją wrzucić do skarbonki.
Drugą mam. Daruję Zosi.
Chcesz?

ZOSIA:

Dziękuję, moja droga!
Wrzucam więc! Brzęk-brzęk!
Jak dzwoni!

BRONKA:

Jeszcze z ciebie będzie bogacz,
gdy przestaniesz grosze trwonić...

ZOSIA:

Brzęku-brzęk! Jak dźwięczy ładnie!
Dobrze poradziła Bronka.

BRONKA:

Widzisz, widzisz! A odgadniesz,
o czym śpiewa nam skarbonka?
„Wszystko co w skarbonce — to
nieś mi wnet do P. K. O.”.

Alina Kwiecińska

OSZCZĘDNOŚĆ

— Już za tydzień wypadają mamusi imieniny! Najwyższy czas pomyśleć o jakiejś miłej niespodziance. Tylko... skąd wziąć pieniędzy? Ty, Marysiu, masz, zdaje się, trochę uskładanego grosza, ale ja, niestety...

— Widzisz, Edziu, a śmiałeś się ze mnie, że każdą, najdrobniejszą nawet, sumę zanoszę do P. K. O.

— Teraz widzę, że nie miałem racji. Ale ja jakoś nie umiem oszczędzać. Gdy sobie pomyślę, że jedno słówko „oszczędność” odgradza mnie od kina, teatrzyku „Baj”, jakiejś ciekawej wystawy lub wycieczki, to od razu zaczynam nienawidzić tego słowa.

— Ależ, Edziu, ty, jak widzę, wcale nie rozumiesz znaczenia wyrazu „oszczędność”. Któż każe ci się wyrzekać najniezbędniejszych rozrywek kulturalnych? Przecież oszczę-

dziać to nie znaczy umartwiać się, żyć w ciemnocie, z dala od świata i ludzi. Jak można myśleć tak nierozsądnie! Oszczędność polega na rozumnym wydawaniu pieniędzy. To nie sztuka pójść do sklepu i kupić potrzebny przedmiot. Sztuka kupić go w ten sposób, aby mieć z niego możliwie największy użytek, gdyż takie rozumne kupno zaoszczędzi nam wielu innych wydatków. Człowiek oszczędny wystrzega się zbytków.

— Jakaś ty mądra, Marysiu! Teraz już rozumiem, co znaczy oszczędzać. Dziś jest właśnie 31 października—doroczny Dzień Oszczędności. Postaram się natychmiast o książeczkę P. K. O., a ile razy tylko zajrzę do niej, przypomnę sobie zawsze naszą dzisiejszą rozmowę.

J. F.

PUDEŁECZKO HANI

Stoi sobie na stoliku
pudełeczko malowane,
co ma z boku wąską szparkę
i na klucz jest zamykane.

Gdy poruszyć, coś w nim brzęczy,
dzwoni, stuka i chrobocze.
Ach, to naszej małej Hani
oszczędzone drobne grosze.

Dziś rok mija, jak Haneczka
ku niezmiernej swej radości
dostała to pudełeczko
w dorocznym Dniu Oszczędności.

J. Forelle

K O N K U R S

Napiszcie powiastkę pod tytułem „Oszczędne dzieci” i przyślijcie do redakcji przed dniem 30 listopada br. Kto napisze najładniejszą powiastkę, ten otrzyma książkę na pamiątkę.



W cichym mieszkanku, w cichej
izdebce
pan kapelusznik do ptaszków szeptem:
— Moje kanarki, moje ptaszęta,
wasz kapelusznik o was pamięta.

Kanarki w wodzie ciałeczka
pluszczą,
sałatkę dziobią, ziareczka łuszczą,
cienko ćwierkają, w spokoju żyją,
na tłustych ziarnach w błogości tyją.

Nagle zakrzykną, pióreczka zjeżą,
w popłochu w pręty klatki uderzą,
ćwierkną: — Tir-lli-li! Ach! Ach!
Ach! Ach!

Za oknem mignął Strach! Strach!
Strach! Strach!





Uchyl no ściereczki,
odsłoń no klateczki.
Nie bójcie się Stracha,
żółte kanareczki!

Wróble Stracha także
się nie obawiały,
póki ziarnek żyta
z pól nie wyjadały.

A ciebie, mój panie,
o coś prosić muszę!
Wyucze mnie pięknie
robić kapelusze!

Mam ja już dwa farchy:
jestem krawcem, szewcem,
a kapelusznikiem
chciałbym zostać jeszcze!

Majster pokrywa klatki ściereczką,
patrzy w ulicę przez okieneczko.
Idzie jegomość-cudak ulicą,
nowe cholewy u butów świecą.

Nowa kapota samodziłowa,
dzielna postawa, niemała głowa.
Dostatni. Strojny, jak na weselu,
jeno dziurawy ma on kapelusz.

— Miły, miły panie!

Mój kapeluszniku,
doszedłem do stroju, do pięknych
bucików.
Jeszcze jednak marzy moja harda
dusza,
bym doszedł najszybciej i do
kapelusza.

— Zrobię ci kapelusz. Lecz ty dla
igraszki
może mi wystraszysz ulubione
ptaszki?...

— Nie lękaj się, panie. Straszę ja
szkodników,
lecz nie tknę w klateczkach
niewinnych psotników.



— Chętnie, mój ty Strachu!
Masz pocziwą minę.
Ot, patrz: tak uszyję,
tak rondko odwinę.

A po odwijaniach,
zawijaniach wielu

pac! pac! — wypraszuję
i oto kapelusz!

Uczy się Strach, uczy, pilnie się
przykłada.

Ćwierkają ptaszeczki,
majster opowiada.

(C. d. n.)

H. Januszewska

Jesienna SŁOTA



Plucha. Zimny, drobny deszczyk śiąpi od samego rana. Jacek i Helenka siedzą na ławce przy oknie osowiali, zmarznięci, zaspani.

— Ależ pogoda, no.

— Właśnie! Ani myśli się wyjaśnić. Będzie pewno taki trzydniowy kapuśniaczek. Niech go drzwi ścisną.

— Dobrze, że to dziś konferencja. Przynajmniej po tym błocie nie trzeba do szkoły leżać. Prawda?

— Bo ja wiem, czy to dobrze? W szkole byłoby weselej... i robota...

— A tak siedzieć w domu i patrzeć na deszcz, to się wściec można.

Jacek przeciąga się szeroko, aż mu w stawach trzeszczy.

Do izby wchodzi mama. Okutana, przemoknięta, zalatuje od niej chłodem i wilgocią.

— Dzieci! Mam dla was robotę!

— Robotę? Matulu, my właśnie coś do roboty chcemy!

Wysypuje mama z płachty na stół kupę suchych, pomarszczonych strąków fasolowych.

— Ot, macie robotę na dzisiejszą pogodę! Wyłuskajcie mi tę fasolę, a ładnie, czyściutko. Jest tu namieszane ze sześć gatunków. Rozdzielcie je, każdy osobno.

Nastawiała mama na stół rondelków, miseczek i poucza:

— O, tu pójdzie ta duża, okrągła, to „bomba”. A tu wąska, długa: „ryżowa”. Ta wielka biała, „Jasio”, w tę miszkę, a kwiatowa „pstruszką” do tego garneczka.

Zabrały się dzieci z ochotą do pracy.

Oczy się świecą, pięty pod ławą wybijają marsza.

— Patrz, Jacek, jaka śliczna pstruszką.

Sypią się na fartuszek duże, błyszczące ziarna, jak kolorowe kamyki.

— O, widzisz te czarno-białe? To będą krówki, takie jak ma pan wójt.

— A to będą konie. Widzisz: dwa kasztany, jeden szpak i bułanek.

— A ta pstra, malutka — to kurka-jarzębatka.

Układają dzieci na stole co ładniejsze fasole, zapomnieli o deszczu.

Mama koło kuchni skrobie ziemniaki i uśmiecha się do siebie.

— Niech sobie robaczki zapomną o słońcu.

— Ej! Jacek! Ja się tak nie bawię! — dąsa się Hela.

— No, bo co?

— Nie bierzesz straków po kolei, tylko wybierasz największe, same pstruski! Ja tak nie potrzebuję!

— Tak, tak — potakuje mama. — Trzeba łuskać po kolei, wszystko musi być wyłuskane!

Wtem zza chmur wymknął się nieśmiało jasny, ciepły promyk słońca, padł na stół, ozłocił ziarenka fasoli i dziecinne głowy.

Zerwał się Jacek:

— Mamo, słońce! Ja idę do szkoły, bo dziś starsze klasy urządzają święto oszczędności, a kto z małych chce, ten może przyjść.

— Czekał, Jacek, i ja z tobą!

— A ty po co? Łuskaj fasolę!

— Mamo, fasolę to my dokończymy wieczorem. Dobrze?

Z. Malicka

BYŁO ICH CZTERY

(HISTORIA PRAWDZIWA)

Gdy Renia i Józek przyszedli pierwszy raz na to miejsce, zastali tam gęsty świerkowy las.

Była wiosna. W cieniu drzew kryły się resztki topniejącego śniegu. Brodząc po kostki w ciemnych, skórzastych listkach bruznic i w mchu nasiąkniętym wilgocią jak gąbka rozglądali się ciekawie po tym kawałku ziemi. Gdy stanęli w słońcu na maluchnej polance, Renia rozsunęła szeroko ręce i powiedziała do Józka:

— Przyjrzyj się dobrze temu miejscu, tu będzie nasz dom.

A nie było tam jeszcze nic, prócz bruznicowych listków zimowych i kielkujących wiosennych paproci.

— Tu będzie stał nasz dom — powtórzyła Renia.

I wtedy pierwszy raz zobaczyli jedną z Czterech. Ukazała się im w nie zrzuconym jeszcze zimowym futerku, prawie popielata. Przedrydała po ziemi tuż przed ich oczami i wspięła się zwawo na świerk. Przebiegała zręcznie z gałęzi na gałąź, coraz wyżej, aż wreszcie usadowiła

się w najspodobniejszym widać po temu miejscu. Przytulona do płożego pnia, płożą kitą okryta, patrzyła teraz w dół na ludzi stojących pod świerkiem z podniesionymi ku niej twarzami.

— Zamieszkała tu już wcześniej od nas — rzekł Józek.

Renia uśmiechnęła się:

— Jest dość miejsca dla wszystkich. Bywaj, sąsiadeczko!

I przyjaźnie potrząsnęła wzniesio-



ną ręką ku wiewiórcie. Wiewiórka zacmokała niezrozumiale, gniewna jakby, czy tylko może przestraszona, i jednym susem rzuciła się w powietrze, by dosięgnąć drugiego świerka. Długi, puszysty ogon pomagał jej w tym skoku jak żagiel. To chwytając się pazurkami sprężystych gałęzi, to rzucając się na łeb na szyję w przerwy między świerkami, ta pierwsza z Czterech oddalała się drogą powietrzną w głąb lasu. Aż znikła z oczu Reni i Józkowi.

W niedługim czasie stało się, jak mówiła Renia. Na maluchnej polanie zaczęto budowę domu. Gwarno i ludno zrobiło się między świerkami. Co rano od strony miasteczka nadchodzili robotnicy. Najpierw kopaliby rowy pod fundamenty. Potem kładli fundamenty z kamieni spajanych cementem. Potem na fundamentach wznosili ściany z cegieł. Między ścianami kładli drewniane podłogi, budowali schody, murywali piece, wypełniali szybami ramy okien i drzwi.

Przez cały ten czas płowa wiewiórka codziennie obiegała z daleka miejsce budowy. Wdrapywała się na coraz inny świerk i patrzyła pilnie. Ciekawili ją widać ludzie zwijający się przy pracy, ich wesołe głosy, stuk ich narzędzi.

Robotnicy zauważyli ciekawską wiewiórkę. Przyjemnie im było, że się tak niebojaźliwie w ich pobliżu kręci. W czasie południowego odpoczynku ten i ów z nich kruszył chleb i ciskał kruszyny w stronę drzewa, na którym o tej chwili czatowała wiewiórka.

— Pożyw się i ty — mówili.

Dziwna rzecz, ale widocznie rozumiała to jakoś, bo Renia i Józek za-

uważyli, że gdy potem robotnicy wracają do przerwanej pracy, wiewiórka spuszcza się z drzewa i węsząc pilnie zdąża ku rozsypanym po mchu okruszynom. Nic sobie z tego nie robiąc, że były dotknięte ludzkimi rękami, brała je w przednie łapki i niosła do głodnego widocznie pyszczka. Renia i Józek przypatrywali się temu z uciechą.

Gdy dom został nakryty dachem i uwieńczony pierwszym kłębem dymu z komina, można było już w nim zamieszkać.

Tegoroczne lato przyniosło ze sobą długotrwałą pogodę. Nastaly dnie słoneczne, pełne suchego ciepła i miłych zapachów. Okna i drzwi nowego domu pootwierane były szeroko.

Aby nie było granicy między domem i lasem, kamienny taras domu schodził niziutko, wprost w bujną leśną trawę. Tu najchętniej przesiadywali po całych dniach Józek i Renia czytając, pisząc lub po prostu patrząc na mnóstwo ciekawych rzeczy, jakie się działy dokoła nich wśród wielkiej gromady ziół i owadów, których życie podglądali z bliska.

Najmilsze były jednak chwile odwiedzin wiewiórki, która się tu całkiem zadomowiła. Przychodziła codziennie, zaraz z rana.

W pierwszych dniach znajomości wynurzała się z oroszonej trawy, robiła kilka tanecznych kroków po tarasie i poprzestawała na tym: odchodziła, skąd przyszła. Po paru dniach odważyła się podejść do ludzi, którzy ją przyzywali przyjaznymi, łagodnymi ruchami rąk i nęcącym stukaniem orzecha o orzech. (C. d. n.)

E. Zarembina



CO BĘDZIE W RADIO

28 października (piątek). Godz. 15 — „Hokus, pokus, Dominikus!”. Czaruje p. Jerzy Gerżabek.

29 października (sobota). Godz. 11 — Prof. T. Mayzner nauczy nas, jak się powinno śpiewać hymn państwowy i pieśń „W rocznicę”. Godz. 15 — Słuchowisko dla dzieci młodszych: „Tygrys krąży koło chatki” (bajka chińska) w oprac. Szymona Pigwy. Godz. 18 m. 30 — P. Wacław Śledziński opowie dzieciom polskim za granicą o „Fabryce cudów”, tzn. o Chorzowie i jego zakładach.

30 październ. (niedziela). Godz.

14 m. 40 — „Wszystkiego po trochu” z p. Wandą Tatarkiewicz i p. Henrykiem Ładoszem.

31 października, 1 i 2 listopada — audycji szkolnych nie będzie.

31 października (poniedziałek). Godz. 15 — Słuchowisko p. Wandy Achremowiczowej dla starszych dzieci: „Nie zawsze szkoła była wesoła”.

2 listopada (środa). Godz. 15 — „Nasz koncert”.

3 listopada (czwartek). Godz. 11 — Poranek muzyczny. P. prof T. Mayzner opowie (trochę poważnie i trochę wesoło) o tym „Jak i na czym ludzie grają”.

ZIARNKO DO ZIARNKA — ZBIERZE SIĘ MIARKA.

STO GROSZY W RZĘDZIE — ZŁOTÓWKA BĘDZIE.

KTO GROSZ OSZCZĘDZA — NIE WIE, CO NĘDZA.

WARUNKI PRENUMERATY:

W prenumeracie zbiorowej (od 5 egz. wwyż):

miesięcznie zł —.50
półrocznie „ 2.25
rocznie „ 4.50

W prenumeracie pojedynczej:

miesięcznie zł —.75
półrocznie „ 3.50
rocznie „ 6.50

POJEDYNCZY NUMER „PŁOMYCZKA” KOSZTUJE 20 GR.

Prenumeratę prosimy nadsyłać blankietem P. K. O. Nr 6880.

W Warszawie prenumeratę przyjmuje filia miejska „Płomyczka” przy ul. Świętokrzyskiej 18, telefon 5-22-18, od godziny 9 rano do godziny 7 wieczorem.

W Wilnie prenumeratę przyjmuje filia „Płomyczka” przy ul. Wielkiej 42, telefon 21-31, od godziny 9 rano do godziny 7 wieczorem.

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: WARSZAWA, UL. J. SMULIKOWSKIEGO 4 (wejście od ul. Dobrej Nr 6). Nr telefonu administracji — 2-69-49, redakcji — 6-30-28.

Redaktorka: HELENA RADWANOWA. Kierownik artystyczny: KAZIMIERZ PIENIAŻEK. Wydawca w imieniu Związku Naucz. Polskiego:

STANISŁAW KWIATKOWSKI

Drukarnia Związku Nauczycielstwa Polskiego w Warszawie, ul. Juliana Smulikowskiego 4.

KASA SZKOLNA

